Na str. 3-ej Reportaż z Hiszpanii
Na str. 2-ej Sprawa „Feniksa“

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

WIEM WSZYSTKO

50 GR

INFORMACYJNY TYGODNIK AKTUALNOŚCI

Nr. 36 Warszawa, Niedziela, 20 września 1936 r. Rok I

BUJAĆ TO MY, PANOWIE!

Prawda o „federacyjnej" republice Sowietów

Partje komunistyczne na całym świecie w rozstrzyganiu zagadnień narodowościowych stawiają za wzór Związek Sowieckich Socjalistycznych Republik, uważając system federacyjny za ostatnie słowo w zakresie autonomji politycznej i współpracy państwowej mniejszych narodów w obrębie większych organizmów politycznych. Ale czy aby Z. S. S.R. jest federacją?

Pytanie to stawiamy, pomimo, że dzisiejsza Rosja urzędowo zowie się Związkiem i pomimo, że konstytucyjnie, Sowiety składają się z siedmiu „suwerennych" republik, z których niektóre znów obejmują szereg republik t. zw. „autonomicznych"

Otóż słusznem wydaje się oświetlić to zagadnienie pro foro externo, aby nareszcie *skończyć z kłamstwem komunizmu* i aby wreszcie zorjentować ogół co do istoty ustrojowej dzisiejszej Rosji Sowieckiej.

Z nazwy i formalnie Rosja Sowiecka jest związkiem federacyjnym, ale w rzeczywistości jest tak jednolitem i centralistycznie zorganizowanem państwem, jakiem nigdy nie była Rosja carska.

Nic tak nie martwiło narodowców rosyjskich i słowianofilów szczerych — jak polityka narodowościowa rozpoczęta przez bolszewików w pierwszych latach rewolucji. Polityka ta, schlebiając tendencjom odśrodkowym najmniejszych narodowości i poszukując w tym elemencie naturalnego sojusznika, do walki z białą Rosją — rzeczywiście rozsadzała kolosa rosyjskiego. Ale już po szeregu lat okazało się, że słynna Deklaracja praw narodów Rosji (z 15 listopada 1917 r.), podpisana przez Lenina i Stalina, który był komisarzem ludowym do spraw narodowościowych, była tylko manifestem przeciwko dawnym rzeziom i pogromom a została jedynie *martwą literą* i wspomnieniem o znaczeniu historycznem.

Genetycznie rozpatrując to zagadnienie, musimy przypomnieć, że I zjazd sowietów (w czerwcu 1917 r.) proklamował prawo samostanowienia narodów o własnym losie, a drugi zjazd sowietów (z listopada 1917 r.) potwierdził tę uchwałę, a w wykonaniu tych postanowień Sowiet Ludowych Komisarzy ogłosił: 1) równość i suwerenność narodów Rosji, 2) prawo narodów Rosji swobodnego stanowienia o własnym losie aż do odłączenia się i zorganizowania niezawisłego państwa, 3) zniesienie wszelkich różnic narodowościowych, 4) skasowania przywilejów narodo-religijnych oraz ograniczeń i 5) wolny rozwój mniejszości narodowych i grup etnograficznych (?), zamieszkujących terytoria Rosji. Tak te zasady formułowało oficjalne wydawnictwo sowieckie: „Sowietskaja politika za 10 let po nacjonalnom woprosu w RSFSR" (opracowanie I. Łazowskija i I. Bibina).

Żadnych zmian w tej polityce również nie wprowadził III zjazd sowietów (26.I. 1918 r.), a uchwalona przezeń deklaracja narodowościowa była uznana nie tylko przez emigrantów rosyjskich, ale i cały świat za wstęp do zupełnego rozpadnięcia się państwa rosyjskiego. Nikt jednakże nie zauważył, że w tych wszystkich deklaracjach chodziło raczej o *djalektykę agitacyjną*, aniżeli o istotną federację. Aby znów zobrazować rzeczywistą barwność narodowościową dzisiejszej Rosji — opierając się o statystykę z 1927 r. (nieco już przestarzała, ale nowszej niema) — stwierdzimy, że na *146 miljonów obywateli Z. S. S. miało dwanaście* narodowości, z których każda liczyła ponad miljon obywateli a mianowicie:

Rosjanie	78.000.000
Ukraińcy	31.000.000
Białorusini	4.700.000
Kazakowie	3.970.000
Uzbecy	3.900.000
Żydzi	2.600.000
Gruzini	1.800.000
Turkmeni	1.700.000
Ormianie	1.570.000
Mordwini	1.340.000
Niemcy	1.240.000
Czuwasi	1.120.000

A następnie mamy w Rosji Sowieckiej ponadto:

5 nar. licz. od	500.000	do	1.000.000	ob.
11 nar. licz. od	200.000	do	500.000	ob.
12 nar. licz. od	100.000	do	200.000	ob.
11 nar. licz. od	50.000	do	100.000	ob.
i 35 nar. licz.		mniej niż	50.000	ob.

Komisja dla badań narodowościowych przy Komunistycznej Akademii w Moskwie w publikacji oficjalnej „Nacionalnaja politika WKP w cifrach" (1930) podaje istnienie w Rosji aż *86 narodowości.*

A teraz proszę pomyśleć, gdyby tak deklaracje pierwszych trzech i potwierdzenia djalektyczne wszystkich następnych zjazdów sowieckich były urzeczywistnione — czy mielibyśmy dzisiejszą Rosję, ozdobioną szyldem Z.S.S.R. Co by to było, gdyby wszystkie te narody, narodziki i całkiem niewykrystalizowane półdzikie plemiona, już przecież posiadające samowiedzę odrębności, mogły stanowić wyłącznie o własnym losie?

Sami bolszewicy zrozumieli nonsens nawet djalektycznej formy federacyjnej, skoro w deklaracji z 1923 r. po usprawiedliwieniu się argumentami ustabilizowanego socjalizmu zadekretowano konstytucyjne związanie poszczególnych części federacyj. Ale jeszcze wtenczas łączono małe narodowości w imię... jedności socjalistycznej ojczyzny, gdy nieco później słowo ojczyzna nabierała coraz mocniejszej barwy rosyjsko-nacjonalistycznej. A dalej następowały argumenty o niemożności prowadzenia gospodarki planowej przy daleko idącym rozdziale republik i stopniowo ograniczono prawa, zaciskano pas na brzuchu żarłoczności chorujących na odrębność narodzików i likwidowano sztuczną hodowlę już zamarłych języków i ludów.

Jakże znamienną jest prawda, która wyziera z rezolucji XII zjazdu *rosyjskiej* partji komunistycznej (według książki „Sowietskij federalizm", Moskwa - Leningrad, 1930-s. 22-23) a która niedwuznacznie wypowiada się, że „prawne ujęcie zasady równości narodowościowej samo przez się nie rozstrzygnie zagadnień narodowościowych. Szereg republik i narodów, które nie przeszły okresu kapitalistycznego a które nie posiadają proletarjatu, a które w wyniku tego stanu rzeczy są mocno spóźnione w swym rozwoju gospodarczym i kulturalnym, nie posiadają pełni praw do korzystania z równouprawnienia narodowościowego zanim nie wzniosą się na wyższy szczebel swego rozwoju i nie dogonią innych z pomocą narodów „*dojrzałych*". Zachodzi w tej zasadzie wyraźna analogja do stosowanej zasady równości między chłopem i robotnikiem. Teoretycznie i między temi dwoma klasami jest (ma być właściwie) równość, ale w praktyce robotnicy są dyktatorami bo... znajdują się na wyższym poziomie oświaty i kultury.

Prawo więc stanowienia narodów o własnym losie jest w ZSSR fikcją!

I pisarze i politycy dzisiejszego ZSSR zgadzają się, że ZSSR nie jest federacją w znaczeniu istotnem t. zn. związkiem narodowych państw równoprawnych czy też związkiem państwowym, jak byśmy się ściślej wypowiedzieli, narodów równoprawnych. Może się da ZSSR porównać z przedwojenną Rzeszą Niemiecką z tą różnicą, że centralne urzędy sowieckie stanowczo *większe mają uprawnienia*, aniżeli centralne urzędy przedwojennej Rzeszy. Co najbardziej jednoczy ZSSR i niweczy papierowy federalizm — to: rządząca partja komunistyczna i jednolite kierownictwo ekonomiczne.

Zasada federalizmu została przekreślona nawet w wyborach do Wszechzwiązkowego kongresu sowietów, bowiem delegatów wybierają gubernjalne i powiatowe okręgi. Nic dziwnego, że oszukani sowieckim federalizmem Ukraińcy coraz głośniej skarżą się na centralizm.

Zapamiętajmy, że centralizm Z. S.S.R. opanował wyłącznie rzędy w resortach:

1. spraw zagranicznych i dyplomacji (zawieranie traktatów, zmiana granic wewnętrznych, wypowiadanie wojny, zawieranie pokoju, ratyfikowanie umów międzynarodowych),
2. gospodarczych (handel zagraniczny, planowa gospodarka wewnętrzna, komunikacja, poczta, telegraf, miary)
3. finansowych (budżety nawet poszczególnych republik, podatki, waluta)
4. wojskowych (jednolita armja),
5. planowania gospodarki rolnej, leśnej i eksploatacji bogactw mineralnych,
6. sądownictwa (prawo ogólnopaństwowej amnestii),
7. ustawodawstwa pracy, szkolnych systemów,
8. kontroli ustawodawczej republik (prawo veta) i t. d.

Takiej dyktatury gospodarczej, jaką sprawują centralne władze w ZSSR nie posiada żadne państwo *kapitalistyczne*.

ZSSR jest fikcyjną federacją i najbardziej centralistycznem państwem w świecie. Tak wygląda komunizm dziś, kiedy Trocki po ostatniej masakrze nazwał go *zmarłym bolszewizmem*, i tak samo wyglądał na rok i na dwa lata przed straceniem Zinowjewa i towarzyszy.

Verus.

NR. 34 TYGODNIKA „WIEM WSZYSTKO“ ULEGŁ KONFISKACIE ZA NOTATKĘ „OD REDAKCJI“ NATYCHMIAST PO KONFISKACIE, WYDALIŚMY NAKŁAD DRUGI, KTÓRY DO SPRZEDAŻY ULICZNEJ I NASZYM PRENUMERATOROM DOSTARCZONY ZOSTAŁ JAKO NR. 35.

Tragedia polskich kondotierów

Ucierpiała na niej dobra sława polskiego lotnictwa

Kosztem wielkiej pracy i jeszcze większych ofiar, udało nam się zdobyć przodujące miejsce w lotnictwie światowem.

Nazwiska ś. p. Żwirki i Wigury, kpt. Orlińskiego, kpt. Bajana i szeregu innych oficerów-lotników to... marmurowe stopnie, po których lotnictwo nasze wspinało się ku zasłużonej, wszechświatowej sławie.

POLSKIE ORŁY I... CALVO SATELLO

Nazwiska te rozsławiły Polskę znakomicie, stokroć lepiej niż najlepsze „spece od propagandy" i kto wie jak długo trwałaby nasza sława lotnicza, gdyby nie... mord na Calvo Satello.

Jak wiadomo, rozstrzelanie tego wybitnego w Hiszpanji działacza antyrepublikańskiego, stało się przysłowiową iskrą, która spowodowała wybuch beczki prochu — wojny domowej na słonecznym półwyspie Pirenejskim. Że wojna współczesna nie może obyć się bez samolotów, to sprawa jasna i nie ulegająca najmniejszej wątpliwości.

POLSCY KONDOTIERZY

Mając to na uwadze, delegaci wojsk powstańczych zakupili w Anglji 4 maszyny, a nie mogąc tam znaleźć pilotów, którzyby zaryzykowali lot nad płonącym półwyspem, w sposób dotychczas dokładnie nie wyjaśniony, weszli w kontakt z pilotami... polskimi.

W wyniku pertraktacji reprezentanci wojsk powstańczych zaangażowali 4-ch Polaków, pp. Czarkowskiego-Golejewskiego, Lasockiego, Z. i studenta politechniki S. Wszyscy czterej byli oficerami rezerwy armji polskiej.

Piloci polscy otrzymali w Warszawie po 2.500 zł. z tem, że pozostałą należność t. j. 7.500 zł. zostaną im wypłacone po dostarczeniu maszyn do bazy lotniczej powstańców.

DWAJ „SZCZĘŚLIWCY"

Panowie Z. i S. dosiedli wielkich, trójmotorowych Fokkerów i szczęśliwie wylądowali w oznaczonem miejscu w Hiszpanji, pozostając tam na wysoko płatnych stanowiskach w hiszpańskiej Legji Cudzoziemskiej. Przelot ich do płonącej Hiszpanji odbył się równie gładko jak cicho. Opinia publiczna nie poświęciła obydwu Polakom ani odrobiny uwagi.

Inaczej, niestety stało się z tragiczną eskapadą ś.p. Lasockiego i por. Czarkowskiego - Golejewskiego.

TRAGICZNY LOT

Wydaje nam się, że nie było na świecie dziennika, któryby nie udanej wyprawie polskich pilotów nie poświęcił mniej lub więcej miejsca, podkreślając, że maszyny dla powstańców przeznaczone, wielkie, kosztowne maszyny, pilotowane były przez... Polaków.

Gdzie jednak należy szukać przyczyny fatalnej katastrofy przed pirenejskiej, która tak bardzo osłabiła naszą sławę lotniczą?

Nie jest ona bynajmniej ukryta specjalnie głęboko. Oto poprostu, obydwaj nasi piloci byli tymi przysłowiowymi właściwymi ludźmi na... nie właściwych, niestety, miejscach.

NIE WŁAŚCIWI LUDZIE

Por. Czarkowski - Golejewski miał, jak ogólnie wiadomo, licencję tylko na pilotaż turystyczny, w którym zresztą również nie popisał się specjalnie, rozbijając „w drzazgi" swój samolot podczas równie śmiałego jak nierozważnego lotu do Indyj, o czem zresztą napisał bardzo ciekawą książkę, którą Czytelnikom naszym gorąco polecamy.

Ś. p. kpt. Lasocki rzadko kiedy latał bez instruktora. Zazwyczaj dokonywał on lotów t. zw. double'ów na maszynach wojskowych, pod czujnem okiem wytrawnego współtowarzysza lotu.

I oto właśnie ci dwaj lotnicy, niewątpliwie pełni jaknajlepszych chęci, raczej romantycy, niż.. kondotjerzy, tak nieszczególnie przyczynili się do „rozsławienia" polskich skrzydeł.

DLACZEGO NIE OSTRZEŻONO?

Zarówno ś. p. Lasocki jak i p. Czarkowski-Golejewski byli ludźmi prywatnymi i mogli dowolnie dysponować swemi osobami, decydując się na mniej lub więcej ryzykowne imprezy handlowe, dlaczego jednak nie znalazł się nikt, ktoby tym zapaleńcom wytłumaczył, jak ciężkiego i jak odpowiedzialnego zadania podejmują się? Przecież na bajeczkę zakrawa opowiadanie, że nikt nic o imprezie czterech polskich pilotów nie wiedział. Ktoś musiał chociażby wydawać paszporty czterem oficerom rezerwy-pilotom, którzy z jednego miasta, jednocześnie wyjeżdżali zagranicę, ktoś musiał być dokładnie poinformowany, że nie jadą oni grać w... ruletkę w Monte Carlo, a mają w Croydon dosiąść Fokkerów, trudnych do pilotowania nawet dla rutynowanych pilotów linij komunikacyjnych, a co dopiero dla napoły amatorów.

DROGA CENA

Poruszamy tę sprawę, bo plotka mówi o niej wiele i szczegółowo. Tak bardzo szczegółowo, że nie sposób przypuszczać, że jest to tylko... plotka.

Wojska powstańcze niewątpliwie zainteresują się nietylko Fokkerami, ale również samolotami polskiej produkcji, których jakość jest pierwszorzędna. Pozyskanie sobie takiego klijenta, oczywiście na wypadek zwycięstwa powstańców, jest dużym sukcesem, nie tak jednak wielkim, aby stawiać nań... życie ludzkie, kosztuje to bowiem i życie i... jeden liść mniej w wawrzynowym wieńcu sławy polskiego lotnictwa.

Pilot Nobody.

Nasi zagranicą...

Stambuł gości polskich „dziennikarzy"

Wyczyny Polaków poza granicami kraju, nie zawsze mogą napełnić nas uczuciem dumy i radości. Częściej zdarza się, że właśnie na obczyźnie zachowujemy się w sposób, jeśli już nie wręcz haniebny, to w każdym razie wysoce kompromitujący.

Można ostatecznie nad takimi właśnie wyczynami przechodzić do porządku dziennego, jeśli są one dziełem osób prywatnych, ubolewając jedynie, że obywatel polski rozporządza tak

minimalnym zasobem taktu i dobrego wychowania.

Sytuacja wygląda zgoła inaczej, kiedy w grę wchodzi bądź osoba eksponowana, bądź też sprytny kombinator takiej właśnie osoby płaszczykiem okrywający się. Jak zwykle dalecy od ogólników i niedomówień, świadomi misji bezkompromisowego prześwietlania wszystkich mankamentów polskiej rzeczywistości, przedstawiamy Czytelnikom naszym następującą,

niestety — autentyczną historję.

Do Stambułu pewnego pięknego dnia zajeżdża ekscentrycznie prezentujące się auto amerykańskiej marki, ale z polskim znakiem rejestracyjnym i polskim, imponującym proporcem, do złudzenia przypominającym

proporzec Prezydenta Rzeczypospolitej.

W aucie znajdują się dwie panie, podróżnie przyodziane i dwu panów, których w całej krasie można podziwiać wówczas, gdy opuściwszy maszynę, sprzedają jakoweś pocztówki Turkom, bardzo niechętnym wzrokiem zerkającym na wszelakich globtrotterów.

Nasi podróżni odziani są w mundury nieistniejącego już Związku Obrońców Kresów Wschodnich, suto szamerowane, obwieszone jakiemiś odznakami i akselbantami. Ponadto obydwaj młodzi panowie mają na głowach imponujące rogatywki,

przypominające czapki generalskie.

Czapki te ozdobione są olbrzymimi orłami.

Całość bardzo operetkowa, ale dla mieszkańca Wschodu wcale imponująca. Auto polskiej ekspedycji zostaje ulokowane w garażu, a załoga jego, to zn. dwie panie i dwu wspomnianych panów

zajmuje wspólny numer

w jednym z hoteli na Perze.

Dwie panie i dwaj panowie w jednym numerze trochę kłują Turków w oczy, ale... ostatecznie z dokumentów wynika, że są to dwa małżeństwa, więc dziury w niebie niema i prawdopodobnie nie byłoby, gdyby nie fakt, że po parodniowym zamieszkaniu, w „polskim nummerze" zebrało się tyle potencji odmiennych kierunków, że musiało nastąpić... wyładowanie.

Od słowa do słowa, panie ujęły się krzepko za czuprynki i zrobiły, mówiąc językiem Wiecha „drakę" głośną na cały Stambuł. Nie trzeba dodawać, że via portjer hotelowy i kawas naszego konsulatu, awantura dotarła do konsula, który jednakże prawie nie miał żadnych podstaw do jakiejkolwiek ingerencji, musiał więc z konieczności ograniczyć się do udawania, że o całej sprawie nic nie wie.

Myliłby się jednak ten, ktoby przypuszczał, że na tych wyczynach kończy się

bujna „działalność" naszych rodaków na ziemi tureckiej.

Jest to dopiero wstęp.

Bo oto w dalszym ciągu panowie zaczynają poszukiwać... gotówki. W swych imponujących, prawie generalskich mundurach zgłaszają się do konsulatu, prosząc o pomoc materjalną, znaleźli się bowiem w katastrofalnej sytuacji. Prawdę ich słów potwierdza właściciel stambulskiego garażu, gdzie odpoczywało auto pol-

(dalszy ciąg na str. 6-ej)

Ofiary „Feniksa" i innych

Powstanie Centralnego Komitetu Obrony

W związku ze skandaliczną aferą zbankrutowanego „Feniksa", powstało w Małopolsce kilka komitetów obrony posiadaczy polis ubezpieczeniowych. Ponieważ komitety te wysuwają najrozmaitsze rozbieżne, a często wzajemnie sprzeczne postulaty — przeto sprawa obrony posiadaczy polis wobec braku jednolitości gmatwa się i postępuje zbyt powoli naprzód.

Wysyłane przez rozmaite komitety memorjały i delegacje do Warszawy nie są wcale skuteczne, — a delegacje są zbyt kosztowne, — tak że ostateczne załatwienie bolączek i krzywd posiadaczy polis przewleka się.

Uważamy, że należy bezzwłocznie całą tę akcję obronną zcentralizować w Warszawie — i dla tego przystępujemy do utworzenia:

„CENTRALNEGO KOMITETU OBRONY POSIADACZY POLIS UBEZPIECZENIOWYCH"

w Warszawie, — Adres podamy po zorganizowaniu. Centrala ta będzie w stanie stale i skutecznie interweniować u Rządu i u Sejmu, w sprawach obrony posiadaczy polis.

Ponieważ zaś pojawiające się w różnych dziennikach prowincjonalnych wiadomości, często są nie ścisłe, przekręcone i nie czytane przez wszystkich zainteresowanych posiadaczy polis, — przeto uprosiliśmy Szanowną Redakcję ogólno-polskiego tygodnika aktualności: „Wiem Wszystko", o łaskawe drukowanie wszystkich szczegółów dotyczących obrony posiadaczy polis ubezpieczeniowych zbankrutowanego „Feniksa" oraz austriackich przedwojennych towarzystw ubezpieczeniowych.

Wszyscy zainteresowani posiadacze polis, powinni we własnym interesie czytać i prenumerować tygodnik „Wiem Wszystko", — gdyż im będą większe szeregi uświadomionych, obeznanych i zrzeszonych, tym prędzej spełnione będą Wasze postulaty.

KOMITET ORGANIZACYJNY

Podając powyższe wezwanie do ogólnej wiadomości, chętnie służyć będziemy słusznej sprawie, — i będziemy drukować tak komunikaty Centralnego Komitetu, — jakoteż i najrozmaitsze sensacyjne rewelacje o skandalu Feniksoskim!

Redakcja „Wiem Wszystko".

U czerwonego Don Kichota

Oryginalny reportaż korespondenta „WIEM WSZYSTKO"

I.

Wojna domowa w Hiszpanii nie przestaje interesować całego świata. Komunikaty i sprawozdania z terenu, jakże bardzo krwawych zmagań, są dzisiaj „lekturą" najbardziej pasjonującą, boć dla wszystkich stało się jasne, że walka na półwyspie Pirenejskim nie jest li tylko walką o rządy białych bądź czerwonych w Hiszpanii Cervantesa...

Poniżej drukujemy pierwsze sprawozdanie „z teatru wojny" naszego korespondenta, dziennikarza-Polaka, czołowego współpracownika wielkiej zagranicznej ajencji informacyjnej który z polecenia tejże ajencji przedsiębrał ryzykowną podróż do... centrum wojny domowej. Uważnego czytelnika zastanowią z pewnością dość odległe daty tej korespondencji. Tłumaczy to się tem, że odcięty od świata, korespondent nasz musiał z wysłaniem poniższego materiału wyczekiwać okazji. Nie przeszkadza to, że reportaże hiszpańskie „Wiem Wszystko" są materiałem wysoce sensacyjnym, na którego czoło wysuwa się niezwykły wywiad naszego korespondenta z prezydentem republiki dr. Azaną, który to wywiad opublikujemy w następnym numerze.

Cały mój bagaż, to mały neseser, w którym poza bielizną, przyborami toaletowemi, aparatem fotograficznym i kilku listami polecającemi, tkwiła przezornie zabrana butelka wina.

Według uprzednio ustalonej trasy podróży, miałem w Genui przesiąść się do samolotu pocztowego, kursującego nocą między tym portem a Marsylją.

W Marsylji, znów miałem ulokować się w samolocie Air France, kursującym ponoć jeszcze regularnie między Marsylją a Barceloną, gdzie znów telegraficznie zamówiono dla mnie miejsce w samolocie Lufthansy, utrzymującym od kilku dni stałą komunikację z Madrytem, celem ewakuowania stamtąd niemieckich obywateli, zbytnio wystraszonych rozwojem wypadków w hiszpańskiej wojnie domowej, a także zdecydowanie nie przychylnemi nastrojami dla Niemiec.

Aczkolwiek, przed odlotem z Rzymu zapewniali mnie zarówno koledzy, jak i szefowie, że wszystko jest przygotowane i załatwione w najdrobniejszych szczegółach i poza ewentualną... kulą czerwonych, nie czeka mnie żadna niespodzianka, to jednak wszystko to uważałem, za bardzo „palcem na wodzie pisane" i nie mogłem oprzeć się najczarniejszym horoskopom.

W Genui dano mi zaledwie godzinę odpoczynku. Nadspodziewanie, ściśle wedle programu o oznaczonej nadwieczornej godzinie wystartowaliśmy do lotu Genua—Marsylja, tym razem bardzo niewygodnym samolotem pocztowym.

Podróż była raczej uciążliwa.

W małej kabinie samolotu, przeznaczonej dla dwóch urzędników pocztowych, dostałem bardzo niewygodne miejsce, a brak urządzeń komfortowych, zwykłych w samolotach linij pasażerskich, stawał się z każdą godziną nie znośniejszy. Poza tym burza wielka i deszcz, czy grad, smagający niby kule karabinów maszynowych w skrzydła i kadłub płatowca, w połączeniu z przeraźliwym turkotem motoru, sprawiał niesamowite wrażenie, jakby jakiegoś makabrycznego słuchowiska.

Przestrzeń Genua—Marsylja pokonywana samolotem linji pasażerskiej w ciągu niespełna 3 i pół godziny, tym razem przebyliśmy w 6 godzin wraz z międzylądowaniami na obsługiwanej trasie. To też dopiero o godzinie 3-ciej nad ranem zmaltretowany i jakby wypluty, znalazłem się na lotnisku w Marsylji.

Tu oczekiwał już na mnie kolega, doręczając mi bilet na zarezerwowane miejsce w samolocie pasażerskim linji „Air France" kursującym normalnie pomiędzy Marsylją a Barceloną.

Nie mając zbyt wiele czasu na odpoczynek, zdecydowałem się skorzystać z zaproszenia kolegi i powędrowaliśmy do „Casino Negresco" tem chętniej, że kolega L. słynie z humoru i potrafi bawić najniewinniejszemi anegdotkami.

Na pół godziny przed 7-mą, znalazłem się już znowu na lotnisku oddalonem około 10 klm. od miasta.

Stwierdziłem jednak wkrótce, że nasz pośpiech był zupełnie zbędny, gdyż — jak się dowiedzieliśmy — odlot samolotu do Barcelony odłożono do godziny dziewiątej. Kapitan lotniska nie umiał, czy nie chciał, wyjawić nam przyczyny opóźnienia startu.

TOWARZYSZE PODRÓŻY

W wygodnej kabinie potężnej maszyny „Air France" GFP 27. zastałem już 8-miu pasażerów i jedną zalewającą się łzami pasażerkę. Z jakiego powodu ta piękna „Carmen" zalewała się łzami, nie zdołałem dowiedzieć się w czasie całej podróży.

Obserwując po kolei towarzyszów podróży, doszedłem do wniosku, że trzech, lub czterech z nich, to oficerowie lotnicy lub marynarze w ubraniach cywilnych, dwaj inni, to kupcy lub „machlojkarze", jadący widocznie na łowy w mętnej wodzie, jeden dalszy, to najprawdopodobniej jakiś arystokrata lub bankier, zaś ostatni, to z pewnością gigolak, czy inny „żongler parketu". Mój zmysł spostrzegawczy oraz wysnuwane zeń wnioski, rzadko kiedy mnie mylą.

To też nie mając w programie nic lepszego podczas lotu, a nudząc się piekielnie, rozpocząłem rozmowę z sąsiadującymi ze mną trzema jegomościami i tak manewrowałem tematem, że w rezultacie przekonałem się, iż moje spostrzeżenia co do ich zawodu były słuszne.

Okazało się bowiem, że wszyscy trzej byli wojskowymi, jeden z nich oficerem - lotnikiem, zdążającym niby „z urlopu" do Barcelony, bronić Ojczyzny i narodu przed „faszyzmem". Przekonałem się wkrótce, że nie pomyliłem się również co do zawodu jegomościa, którego określiłem mianem „machlojkera", albowiem z rozmowy z nim dowiedziałem się, że leci do Barcelony w sprawach handlowych pewnej firmy francuskiej, którą od lat reprezentuje. Niepokoiła mnie jeszcze ciekawość, czy ów gładko wygolony „gentlemen" o wyszlifowanych paznokciach i trzęsących się rękach, ów pachnący pseudo-Atkinsonen jegomość, jest faktycznie gigolakiem. Zrezygnowałem jednakże ze stwierdzenia mych domysłów, zauważywszy, że zbliżamy się już do upragnionego celu podróży.

W CZERWONEJ BARCELONIE

O godz. 11,45 wylądowaliśmy gładko i sprawnie na lotnisku w czerwonej Barcelonie.

Przed niespełna rokiem wylądowałem na temże lotnisku samolotem „Lufthansy". Jakże inaczej przedstawiało się ono wówczas, jakże inne zwyczaje i obyczaje zastałem tu obecnie...

W chwili, kiedy nasz ptak — olbrzym usiadł na ziemi czerwonej Katalonji i jeszcze toczył się, około 30-tu dziwacznie przystrojonych ludzi, niby to żołnierzy, niby członków ochotniczej straży pożarnej z Pipidówki, biegło za maszyną, otaczając ją kołem w chwili, gdy wreszcie zatrzymała się.

Po wyjściu z kabiny, otoczono nas półkolem i doprowadzono, jakby przestępców pod konwojem do gmachu dawnego urzędu celnego i poczty, obecnie siedziby „Ludowej Komendy Lotniska".

Wprowadzono nas do obszernej sali przedzielonej barjerą, za którą przy kilku biurkach i stołach, urzędowali dwaj starsi wojskowi, oraz trzej członkowie milicji ludowej. W części sali, w której się znaleźliśmy, zastaliśmy już kilku, zdaje się Bogu ducha winnych, podróżnych, którzy niewiadomo na co i po co, niecierpliwie czekali.

W kącie tej części na żelaznych krzesłach, siedzieli dwaj dryblasi z milicji, uzbrojeni w duże, przedpotowe pistolety i krótkie sztylety w pochwach za pasem. Na piersiach ich widniały bolszewickie gwiazdy naszyte na bluzy, zaś na ramionach, opaski z emblematami sowieckimi i tajemniczemi literami UGT.

Pełnili oni służbę dozorców czy gończów.

TAJEMNICA ŻÓŁTYCH KSIĄŻECZEK

Po wejściu do sali zauważyłem, że owi, wspomniani już czterej towarzysze podróży, w których jeszcze w samolocie odgadłem wojskowych, byli zaopatrzeni w jakieś specjalne, rzekłbyś czarodziejskie papiery, gdyż nie zajęli wraz z nami miejsca na wskazanych nam krzesłach, tylko grupą podeszli do najbliższego biurka i okazując milicjantowi paszporty i jakieś żółte książeczki, zażądali odeń natychmiastowego załatwienia. Urzędujący za biurkiem młokos udał się z wręczonymi mu papierami do przyległego pokoju i powróciwszy po chwili, oddał każdemu z tych „szczęśliwców" paszport, jakąś żółtą książeczkę i przepustkę do miasta. „Salud camerad", odezwały się ich głosy na pożegnanie. Szczęśliwy młokos, odprowadził ich do drzwi wyjściowych, kłaniając się im usłużnie.

Po chwili, znalazłem się i ja przed obliczem władzy ludowej; niestety, mniej ugrzecznionego i starszego już jegomościa. Już pierwsze spojrzenie nań, sprawiło, że byłem pewny, iż stoję przed zawodowym „łapaczem".

Zażądał moich dowodów i wyszedł z nimi.

REWIZJA...

Markując spokój, usiadłem na mojem poprzedniem miejscu, tuż przy boku „płaczącej mumii" — towarzyszki podróży z Marsylji. Po pewnej chwili, podszedł do mnie jakiś inny „dygnitarz" w mundurze celnika i zapytał o mój bagaż. Gdy mu okazałem mój mały neseser, spojrzał na mnie ze zdziwieniem, nie dowierzając i zapytał, czy ów neseser stanowi cały bagaż? Gdy mu odpowiedziałem twierdząco, szorstko zawezwał mnie do towarzyszenia mu. Rad nie rad, udałem się wraz z nim, a raczej prowadzony przez niego, do jakiejś obskurnie śmierdzącej izby, przypominającej mi żydowskie biuro pośrednictwa pracy na Nalewkach, lub ogólną celę w aresztach policyjnych. Dopiero gdy zrzuciłem z siebie ubranie, zauważyłem, że w drugim kącie izby siedział jakiś drugi „bojownik o wolność ludu", zajęty naprawianiem swego ubrania...

Po przetrząśnięciu moich kieszeń i obmacaniu szwów ubrania oraz po dokładnem obejrzeniu mego obuwia, przyszła kolej i na mój „bagaż". Na pierwszy ogień poszedł mój „Zeiss Icon". Celnik obejrzał go najdokładniej, zapytał czy na błonie są już zdjęcia, uśmiechnął się mile, lecz niestety tylko do aparatu, po czym odłożywszy go na bok, zabrał się do przeglądania moich papierów. Widocznie, nie bardzo był zaprzyjaźniony z obcymi językami, gdyż po chwili, zabrał wszystkie moje papiery, nie wyłączając i znalezionych w neseserze gazet i polecając mi się ubrać, sam wyszedł dumny, niby z trofeami...

Po upływie może kwadransa, zjawił się już bardzo ugrzeczniony mój „anioł stróż" jakby w innych piórkach; najuprzejmiej w świecie poprosił mnie o towarzyszenie mu do... „brygadjera". „Cóż u licha, pomyślałem, i brygadjera tu na lotnisku mają?".

CZERWONY DON KICHOT

Po chwili, znalazłem się w schludnie urządzonym gabinecie, na pierwszym piętrze budynku. Jakiś okazały dżentelmen z ogromnym czarnym wąsem i pielęgnowaną brodą, przywitał mnie powstając od ogromnego, zawalonego papierami, biurka i wskazał wygodny fotel. Doskonałą francuszczyzną przeprosił mnie za „nieporozumienie rewizji" poczem rzucił kilka pytań o przebiegu podróży z Marsylji i zapytał jakim środkiem lokomocji i kiedy zamierzam udać się w dalszą podróż. Odpowiedziałem mu, że podróż pragnę kontynuować samolotem i to jak najwcześniej. Spojrzał na jakiś arkusz papieru i oświadczył, że uczyni wszystko, ażeby mi ułatwić dalszą podróż, lecz wyraził wątpliwość, czy przed zmrokiem któryś z samolotów odleci do Madrytu. Wiedząc z moich papierów, że jestem dziennikarzem, rozpoczął ze mną bardzo ciekawą rozmowę na temat Hiszpanji, struktury społecznej, programu frontu ludowego i przyczynie „zdrady generałów". Mój bardzo inteligentny i ciekawy rozmówca, wart byłby specjalnego artykułu. Zdaniem pana Liborio Remedios, komendanta portu lotniczego w Barcelonie, b. podpułkownika, którym okazał się mój rozmówca, lud hiszpański walczy nie tylko o najświętsze prawa do wolności i rozwoju kulturalnego, nie tylko o chleb dla miljonów przymierających głodem małorolnych i robotników, lecz walczy o los całego narodu hiszpańskiego — niepodległość Hiszpanji! Zdaniem mego rozmówcy — ewentualne zwycięstwo „zdrajców ludu i państwa", zwycięstwo „burżuazyjnych generałów — agentów obcych dyktatur" równałoby się zupełnemu zmierzchowi historji Hiszpanji, równałoby się cofnięciu conajmniej o lat 50 rozpoczętej dopiero przez rząd „Frontu Ludowego" akcji kulturalnej i oświatowej wśród ludu. Zapewniam pana — ciągnął z przekonaniem mój rozmówca, że zwycięstwo zdrajców ludu równałoby się hegemonii faszyzmu w całej Europie, zaś faszyzm — to nieunikniona wojna światowa!

Pożegnałem się i po chwili już wolny i zadowolony znalazłem się na lotnisku. Odetchnąłem z ulgą. Uzbrojony w przepustkę zaopatrzoną w ogromną czerwoną pieczęć z napisem „Policja Aedromo — Barcelona" poczułem się zupełnie pewny siebie i przede wszystkiem, postanowiłem stwierdzić możliwość jak najszybszego odlotu do Madrytu.

d. c. n. *Lav*

Czy pani jest mężczyzną?

Dziwy dwuosobowości najlepszych lekkoatletek świata

„— Ubierać się, kobieta idzie! krzyknęła do lekkoatletek odźwierna, widząc wchodzącą do kobiecej wioski olimpijskiej ....młodą dziennikarkę...“

Tak mniejwięcej wyglądała wersja jednego z najpopularniejszych kawałów, krążących w okresie berlińskiej olimpjady.

Dobry żart jest wart przysłowiowego „tynfa“ nietylko wtedy, gdy odpowiada warunkom dobrego humoru, ale również, jak w danym wypadku, gdy spełnia rolę pedagogicznego „pendant“ w kierunku usanowania wybitnie niezdrowych stosunków w światowej lekkiej atletyce kobiecej.

A przykładów tutaj mamy tak dużo, że wygląda już, jakby dwupłciowość sportsmenek weszła poprostu w rodzaj... nałogu.

KOUBEK SENSACJA NEW-JORKU

Nie tak dawno, bo zaledwie przed dwoma laty wyszła na jaw tajemnica „sukcesów“ znanej biegaczki czeskiej Koubkowej, będącej w posiadaniu całego szeregu rekordów światowych w biegach na długie dystanse. Dziś imć Pan Koubek występuje w charakterze złotego młodzieńca w jednym z większych kabaretów New Yorku i wywijając laseczką śpiewa z wielkiem powodzeniem cały szereg frywolnych piosenek z „cyklu“... „Ja kocham dziewczynki, brunetki i blondynki“...

MARY WESTON... SZCZĘŚLIWYM OJCEM...

Nie przebrzmiały jeszcze echa sprawy Koubka, a już opinia sportowa została zaalarmowana całym szeregiem zarzutów pod adresem licznych, czołowych lekkoatletek świata.

Na pierwszy ogień poszła słynna angielska miotaczka Mary Weston, która w wyniku licznych badań i intensywnych zabiegów okazała się stuprocentowym... Markiem Westonem.

Nowokreowany Marek Weston występuje obecnie w roli miłego małżonka swej dawnej koleżanki „po fachu“, innej biegaczki, i jest już szczęśliwym ojcem małego bobaska o zdecydowanej płci męskiej.

OLIMPIJSKIE „DRAGONY“

Istny żer plotkom dała dopiero olimpjada w Berlinie.

Coraz częściej ukazywały się w prasie niemieckiej liczne zarzuty przeciwko znanym lekkoatletkom, tuszowane częściowo przez czynniki olimpijskiej propagandy.

Najwięcej uwagi poświęcono czterem najszybszym kobietom świata, amerykance Stephens, niemce Bollinger i Krausss a wreszcie ...naszej mistrzyni Walasiewiczównie.

Zaobserwowano bowiem z całą pewnością, że dosłownie wszystkie wspomniane „zawodniczki“ golą się „jak jeden mąż“, mają gruby głos, kanciaste ruchy i unikają rozbierania się w szatniach ogólnych, przychodząc już kompletnie ubrane do szatni.

Wielką awanturę na Śląsku wywołało w swoim czasie zalecanie się Koubka do znanej lekkoatletki-sprinterki panny S.

„CESARSKIE CIĘCIE“ FEDERACJI

Opowiada się coraz częściej o wypadkach daleko idącej agresywności wobec koleżanek, aż wreszcie struna pęka i Międzynarodowa Lekkoatletyczna Federacja kobieca wydaje postanowienie następującej treści:

...„Każda z zawodniczek, co do której zachodzi podejrzenie dwupłciowości ma być natychmiast zbadana i w przeciągu dwóch godzin od chwili złożenia formalnego protestu na zawodach, winna okazać świadectwo lekarskie, uprawniające do udziału w zawodach kobiecych.

SMĘTKÓWNA CZY SMĘTEK?

Uchwała, uchwałą a jednak nie wszystko dzieje się u nas tak, jak tego postanowienie federacji wymaga.

Do tych wszystkich dość mglistych pogłosek, dochodzi jeszcze rewelacyjna i dość niedwuznaczna w swym charakterze sprawa polskiej zawodniczki, znanej oszczepniczki Smętkówny.

Oto co pisze znana sportsmenka panna J. W. w liście otwartym do redakcji jednego z warszawskich pism sportowych:

„Dlaczego ukazały się ze strony klubu liczne zaprzeczenia niewyraźnej sytuacji Smętkówny, podczas gdy ogólnie znaną jest rzeczą, że zawodniczka ta odwiedziła już cały szereg lekarzy, wśród których zdania co do jej płci są już do tego stopnia sprecyzowane, że nasuwa się konieczna potrzeba operacji...?...

Dlaczego nie zwrócono na Smętkównę uwagi już wtedy, gdy, podczas wyjazdu kobiecej reprezentacji do Drezna, zachowywała się dość agresywnie w stosunku do jednej ze swych koleżanek?...“

BIERNOŚĆ ZWIĄZKU

Wspomniany list i cały szereg innych pytań pod adresem związku pozostały dotychczas bez najmniejszego echa.

Związek lekkoatletyczny nie poczuwa się wcale ani do ogłoszenia w tej sprawie odpowiedniego komunikatu, ani też nie stara się przeprowadzić dochodzeń w kierunku wyjawienia właściwej płci Smętkówny.

Bierność Związku w tej sprawie szkodzi nietylko samej Smętkównie, której sytuacja jest dość kłopotliwa, ale szkodzi również dalszemu normalnemu rozwojowi kobiecej lekkoatletyki.

ŻĄDAMY WYJAŚNIEŃ!

Dla męskich „dragonów“ w kobiecej lekkiej - atletyce miejsca być absolutnie nie powinno!

Dlatego też, nie wnikając już nawet w meritum pogłosek a jednocześnie chcąc zawodniczki polskie wybawić z kłopotliwej sytuacji, zwracamy się do lekkoatletycznego związku z żądaniem natychmiastowego przeprowadzenia gruntownej rewizji lekarskiej i podania wyników badania do wiadomości publicznej!

Nie trzeba oczywiście histeryzować się na ten temat, bo sprawa w gruncie rzeczy jest błaha, ma ona jednak swoją dość specyficzną wymowę, która zwłaszcza przez młodzież garnącą się do sportu może być niewłaściwie komentowana. I aby tych właśnie komentarzy nie było, trzeba tę sprawę wyjaśnić.

John.

Palestra na manowcach

Długi łańcuch afer warszawskich adwokatów

Już prasa codzienna pisała o aresztowaniu adwokata Rykowskiego. Znajdujące się w zaczątkach śledztwo dotychczas nie ujawniło szczegółów całej afery, ale te dane które zdobyto narazie, to dane które wynikają aż z 17 skarg, jakie wpłynęły przeciwko adwokatowi, rzucają dostateczne światło na całą sprawę.

A jest to sprawa, nad którą warto bliżej się zastanowić.

Adwokat Rykowski, młody członek palestry należał do tego

nielicznego grona szczęśliwców,

którzy nie potrzebują walczyć o byt.

Pieniądze, jak to się mówi, same szły do niego. Nie zdążył wstąpić na drogę karjery życiowej, już spotykał się z pełnym powodzeniem w życiu. Adwokat Rykowski popierany z różnych stron zdobył sobie nader intratną praktykę, znalazł dobre radcostwa prawne, jak naprzykład w Kasie Chorych, zaczął otrzymywać syndykostwa, między innemi fabryki „Perkun“. Rykowski urządził sobie piękne mieszkanie, bywał w salonach i dancingach, jednym słowem

żył na szeroką stopę, zarabiając duże sumy.

Ale legalnych zarobków było mu mało.

Rykowski sięga do obcych pieniędzy i stopniowo wkracza na drogę szeregu innych przestępstw. To co narazie wiadomo z działalności Rykowskiego, zamyka się w ramach szeregu artykułów kodeksu karnego. A więc kradł depozyty, oszukiwał, dokonywał fikcyjnych sprzedaży, pobierał tak zwane „odstępne“ od aplikantów adwokackich, nie mając prawa przyjmowania aplikantów i t. d.

Dzisiaj Rykowski zakończył już swoją krótką, ale błyskotliwą karjerę. Ostatnim jej etapem stało się

więzienie przy ulicy Dzielnej.

Jeżeli bliżej zastanowić się nad tą sprawą, to należy stwierdzić, że ma ona w sobie coś przerażającego.

Człowiek któremu życie dało wszystko, człowiek, który zdobył wykształcenie, stanowisko społeczne i pieniądze, dużo pieniędzy — staje się pospolitym przestępcą...

Najbardziej zaś w tej sprawie przerażającym jest to, że chodzi o osobę adwokata, a więc współczynnika wymiaru sprawiedliwości, człowieka, który stykając się zawodowo z kodeksem karnym, najbardziej

winien zdawać sobie sprawę

z występności czynu, z jego charakteru moralnego i prawnego.

Przypomnieć sobie należy, że przecież ta sprawa to nie wyjątek. Mury więzienne gościły i goszczą nie jednego adwokata, w którego dziejach można znaleźć aż nadto wiele analogji z karjerą adwokata Rykowskiego.

A adwokat Boniecki? Młody prawnik, wybitny działacz młodzieżowy na uniwersytecie, któremu życie przynosi najwyższą wygraną. Boniecki pochodzi z rodziny ubogiej i nieinteligentnej, a tymczasem już jako aplikant adwokacki dzięki poparciu wybitnego patrona staje się wziętym adwokatem i zaczyna zarabiać duże pieniądze. Boniecki w momencie kiedy znalazł się za kratami za defraudację 80.000 złotych z Banku Zachodniego zarabiał legalną praktyką

około 3.000 złotych miesięcznie!

A adwokat Łypacewicz? Syn jednego z najlepiej zarabiających adwokatów warszawskich, właściciela wielkich czynszowych kamienic, sam świetnie zarobkujący praktyką adwokacką, kończy swoją młodą, bo kilkuletnią karjerę adwokacką

za kratami więzienia,

w związku z różnemi oszustwami, fałszami i przywłaszczeniami. Adwokat Fedrowocia, profesor uniwersytetu lubelskiego, radca prawny największych przedsiębiorstw przemysłowych, dla zdobycia kilkudziesięciu tysięcy złotych decyduje się na aferę oszukańczej sprzedaży placu. Adwokat Parzyński, który legalnie zarabiał

do 10.000 złotych miesięcznie,

ażeby nie ograniczać stopy życiowej, nie rezygnować z przyjęć na których lał się szampan, nie rezygnować z pałacowych will i wspaniałych limuzyn, sięga do chudoby swoich klijentów, przywłaszczając na łączną sumę 500.000 złotych spadków amerykańskich.

A choćby dzisiejszy towarzysz z celi więziennej Rykowskiego, adwokat Basler, który szeregiem lat praktyki dorobił się kroćiowej fortuny i opinji człowieka nieskazitelnego, okazał się

zwykłym oszustem i przestępcą

działającym nie tylko na szkodę osób prywatnych, ale swego Państwa, któremu w pierwszym rzędzie służyć winien adwokat.

Jeżeli rzucić okiem na ten przerażający bilans przestępczości ostatnich lat wśród adwokatury — należy wyprowadzić jeden wniosek. Na afery puszczają się najlepiej usytuowani, najlepiej zarabiający adwokaci, ludzie, których część legalnego dochodu wiele razy przewyższa normalne zarobki przeciętnego śmiertelnika. Wśród wszystkich adwokatów - aferzystów, którzy zasiedli albo zasiądą na ławie oskarżonych niema ani jednego członka tego zawodu, który ciężko borykałby się w walce o byt. A przecież nie brak tych członków palestry. Wymienione przez nas wyżej jednostki

należały do wyjątków,

wyjątków niezwykle szczęśliwych. Iluż to adwokatów niezwykłym wysiłkiem musi walczyć o pokrycie najskromniejszego budżetu rodzinnego.. Ludzie na stanowiskach, prawnicy i to niepośledni, ludzie, zgarniający gotówkę wprost łopatami — kończą swoją drogę życiową w więzieniu. Postać adwokata Rykowskiego, tego wytwornie ubranego,

przystojnego „pana całą gębą“

który ostatnie dni przed aresztowaniem tułał się po podrzędnych lokalach, w naiwnej chęci przedłużenia godzin wolności, urasta do smutnego symbolu dzisiejszej rzeczywistości. Kradną nie ci z biedy, ale kradną ci z nadmiaru, ci którym jest za dobrze. Nad tym zjawiskiem należy się bliżej zastanowić i znaleźć odpowiedź na nasuwający się szereg pytań.

Ślepa Temida.

Tydzień ubiegły

Warszawa, w ubiegłą niedzielę zapełniła się przyjezdnymi. Tak się złożyło, że ze zjazdem ku czci Skargi, z wielce atrakcyjnym meczem piłki nożnej Polska-Niemcy, największe nasilenie w tym dniu osiągnął „tydzień Warszawy".

W jednym tylko dniu niedzielnym stolica gościła ponoć stutysięczną rzeszę przybyszów.

I cóż się okazało?

Warszawa, naszym zdaniem, nie zdała egzaminu. Nie zdała egzaminu, z tego względu, że nie umiała odpowiednio pokierować tymi masami z prowincji.

Kto bowiem znalazł się w ubiegłą niedzielę na ulicach stolicy, mógł się naocznie przekonać, jak stosunkowo jednak drobna, stutysięczna publiczność nie-warszawska zablokowała główne arterie przeszło miljonowego miasta.

Każdy widział te przelewające się masy ludzkie na Nowym Świecie, Brackiej, Al. Jerozolimskich, czy Chmielnej. Każdy mógł dziwić się tym nieprawdopodobnym zatorom tramwajów, samochodów, taksówek i dorożek konnych.

Biedni policjanci, regulujący ruch uliczny, mieli pracę nielada. Machali na prawo i na lewo swymi pałeczkami gumowymi, chrypli od pouczeń i wskazówek, aż wreszcie zupełnie tracili głowy.

Zawsze coprawda znalazł się wtedy jakiś komisarz lub dzielnicowy, który starał się sytuację uratować. Upływało jednak sporo czasu, zanim kilka mundurów, rozwiązało supeł pojazdów i przechodniów.

Z jednego zbiegu ulic, fala ludzka i mechaniczna ruszała, aby zaraz utknąć na najbliższym rogu ulicy.

Niewątpliwie, ktoś może powiedzieć w obronie, że Warszawa ma wąskie ulice, częste są ich krzyżowania i mało równoległych do Nowego Świata i Marszałkowskiej.

Wszystko to jest bardzo piękne. Tym bardziej jednak świadczy właśnie o złej organizacji.

Wąskie bowiem ulice, częste się ich krzyżowanie i t. p., i t. p. są już przecież od dość dawna w Warszawie... skoro więc to jest wszystkim wiadomo, trzeba było pomyśleć, jak kierować tak licznie przybyłymi gośćmi z prowincji, a nawet z zagranicy, aby nie było nieprzyjemnych „korków" u zbiegów ulic, aby wreszcie można było swobodnie się poruszać.

Trzeba było przewidzieć, jakie grupy na jakie rozrywki, kierować. Trzeba było odpowiednio porozdzielać niedzielnych gości, aby nie skupiać ich zbytnio w jednym punkcie.

Atrakcji bowiem w tym dniu miała Warszawa dość. Atrakcji — poza zwiedzaniem miasta.

Należało za tym, naszym zdaniem, odpowiednio te sprawy przemyśleć, odpowiednio ułożyć.

W wyniku bowiem dorywczości, bezmyślnego ściągnięcia większej liczby turystów, niż stolica może ich przyjąć, było jednocześnie niezadowolenie.

Nie zadowolenie gości z prowincji i turystów zagranicznych, że tracą najniepotrzebniej wiele czasu na ustawiczne przepychanie się w tłoku. Zamiast za tym zadowolenia i przyjemności, pozostawiło im się wrażenie niedołęstwa i nie ruchu.

Z tych wszystkich braków, z całego tego bałaganu widzimy niedołężną organizację różnych biur „propagandy", które zachęcając do przybycia, nie zapewniły zarazem odpowiednich wygód turystom.

Winimy również biura podróży, które organizując wycieczki do stolicy, nie pomyślały o tym, jakie wrażenia mogą wynieść te masy ich uczestników. W efekcie, krótki. mały zysk — duża strata moralna. Niedołęstwo...

Proszę tylko posłuchać, jak się o tym niedołęstwie wyrażali turyści niemieccy, przybyli na mecz piłki nożnej. Raz na zawsze otrzymali przykre wrażenie. Raz na zawsze zraziło się ich od przyjazdu do stolicy Polski.

Jeszcze więcej jednak przykro było słuchać tego Polakom, którzy widzieli bajeczną organizację na olimpiadzie berlińskiej. A tam były tłumy publiczności o wiele większe.

Ignis.

Czyżby naprawdę?...

...były dyrektor pewnego banku miał wielkie „trafne" na torze? Zagrał on w niedzielnych wyścigach 100 złotych na konia Nektar. Kasa wypłaciła za 100 złotych — 4.370...

*

...szulerzy warszawscy byli w wielkiej biedzie? Ludzie nie mają pieniędzy, niema więc frajerów, niema też kogo szulerować. Szulerzy z utęsknieniem oczekują ożywienia konjunktury finansowej.

*

...właściciel najbardziej renomowanego sklepu futrzanego miał szeroki gest w wydawaniu pieniędzy? Sprzedaje on obecnie kupiony przed dwoma laty samochód „Packard", za nikłą część zapłaconej sumy, albowiem zamówił sobie „Cadillaca" 16-to cylindrowego, za który zapłacił 80.000 złotych. Trudno wyobrazić, ażeby w dzisiejszych czasach kupiec mógł z normalnie prowadzonego sklepu, pozwalać sobie na takie finansowe ekstrawagancje.

*

...jeden z najbardziej aktywnych antysemickich dzienników warszawskich był wydatnie finansowany przez znanego przemysłowca żydowskiego! Przemysłowiec ten, za pośrednictwem swego bardzo aryjskiego reprezentanta nabył obecnie poważny portfel akcyj drugiego, również antysemickiego dziennika.

*

...władze polskie dowiedziawszy się o pobycie w Czechosłowacji *„sławnego"* Stefana Ołpińskiego, ponownie zażądały od władz czeskich wydania „bohatera" procesu z p. Starzyńskim? Jeśli byłaby to prawda, sprawa Ołpińskiego zaczyna się przeobrażać w groteskę, niezbyt przyjemną dla prestiżu Rzeczypospolitej, a jaskrawo uwypuklającą.... wpływy i stosunki współczesnego Don Kichota, który zaryzykował wystąpienie przeciw p. prezydentowi Starzyńskiemu.

*

...polskie radio w Katowicach stało się terenem niezwykle przykrego skandalu. Oto do tamtejszej dyrekcji zwrócił się radjosłuchacz katowicki, który na swój aparat schwytał sygnał S.O.S. Aczkolwiek sygnał ten nadawany był wtedy, kiedy cała Polska z zapartym tchem wyczekiwała wiadomości o załodze balonu „L.O.P.P." radjo katowickie zakomunikowało wspomnianemu radjosłuchaczowi, że sygnał ten ich nie interesuje... Czy to możliwe?

*

...b. poseł Wincenty Witos, od dłuższego czasu przebywający na emigracji, opuścił Brno czechosłowackie, gdzie zamieszkiwał przy ul. Babiczkowej 16? Wódz Stronnictwa Ludowego przeniósł się na stały pobyt do Genewy.

*

...pewien cudzoziemski dyrektor lokalu rozrywkowego S. został przyłapany na gorącym uczynku zbyt daleko posuniętej poufałości w stosunku do młodego chłopca?

Naśladowca wydawcy pisma literackiego p. A. Bormana, jest człowiekiem żonatym i „dzieciatym", to też tym bardziej wydają się niewłaściwemi jego niezdrowe popędy.

Bracia podajcie sobie ręce...

Bagno ubezpieczeń króluje wszędzie

„WIEM WSZYSTKO" w kilku artykułach zajęło się stosunkami w naszej branży ubezpieczeniowej. Oczywiście, zaraz musieli się znaleźć żarliwi obrońcy panów ubezpieczeniowców, tych naturalnie, którychśmy napiętnowali, i, jak to zwykle w takich sytuacjach bywa, poczęto zarzucać nam, conajmniej, nieścisłości. Wśród ataków pośrednio przeciw nam skierowanych znalazło się nawet „sprostowanie" skierowane do jednego z dzienników, w którym powoływano się na to, że nie można czynić hałasu wokoło stosunków ubezpieczeniowych, gdyż szkodzi to naszemu rynkowi kapitalizacyjnemu.

Nikt nie zaprzeczy, że Anglia jest wielkim krajem, że Anglicy są ostrożni w formułowaniu sądów, że są bardzo dyskretni wtedy, kiedy trzeba być dyskretnym, że wreszcie, *wytwórnie potrafią spławiać ludzi wysoko postawionych,* którzy sprzeniewierzyli się obyczajności publicznej, jak to uczynili z jednym ze swoich ministrów, który zdradził tajemnice finansowe, i z jednym z wiceministrów, który nadużywał swoje stanowisko urzędowe do zajęcia bardziej lukratywnego stanowiska prywatnego. W Anglji, jeśli chodzi o zwalczanie niesumienności, w jakiejkolwiek bądź dziedzinie, nikomu do głowy nie przyjdzie operować argumentem tym, którym się operuje u nas, że chodzi o... zaufanie, bliżej nieokreślone i mgliste.

Otóż, w tej to Anglji *specjalna Komisja powołana do zbadania działalności towarzystw ubezpieczeniowych,* wydała o tych towarzystwach opinię, która, w porównaniu z tem co o naszych stosunkach ubezpieczeniowych pisano u nas... nie jest lekturą budującą. Lektura ta została opublikowana w wydawnictwie, mającym tytuł: „Report of the Committee on Industrial Insurance. Minutes of evidence". Streszczenie tego raportu wraz z komentarzami *znajdujemy w poważnym czasopiśmie* p.t.: „Revue des Etudes Coopératives" w referacie p. M. N. Barou, w Międzynarodowym Instytucie Studiów Spółdzielczych mówił o zagadnieniu ubezpieczeń spółdzielczych, których zorganizowanie jest potrzebne wobec niesłychanych metod działalności prywatnych towarzystw ubezpieczeniowych.

„Ubezpieczenia prywatne — mówił p. Barou — a specjalnie już ubezpieczenia ludności pracującej, *są uprawiane według metody bardziej lichwiarskiej niż pożyczanie pieniędzy.* Są one o tyle jeszcze straszniejsze, że operują w skali b. rozległej, i że ich wykroczenia są bardziej niebezpieczne niż podobne wykroczenia w dziedzinie kredytu pieniężnego. *Towarzystwa ubezpieczeniowe* — powiada dosłownie p. Barou — *kompletnie ignorują ubezpieczonych i wyzyskują ich* w sposób nie do uwierzenia. Wspomniany raport angielski przytacza szereg faktów, świadczących o ignorowaniu interesów ubezpieczonych przez towarzystwa. Mianowicie:

1) Umowy ubezpieczeniowe są zredagowane w ten sposób, że *ubezpieczony jest zdany kompletnie na łaskę i niełaskę towarzystw.* Np. pewna staruszka, mająca 80 lat, która przez 50 lat opłacała ubezpieczenie, nie mogła otrzymać premii.

2) Ubezpieczenia są interesem, który nie jest prowadzony zupełnie legalnie i lojalnie. Towarzystwa b. często ignorują przepisy prawne, tak, że w rezultacie prawodawca musi je zmieniać wobec zaszłych faktów, które wynikały z powodu nie przestrzegania przepisów.

3) Zdani jesteśmy na łaskę *przeszło 1000.000-nej armii agentów,* którzy korzystając ze wszystkich współczesnych środków reklamy i propagandy, atakują publiczność, pozostawioną bez obrony. *Organizacja lichwiarzy jest niewinną igraszką w porównaniu z organizacją agentów towarzystw ubezpieczeniowych.* (L'organisation des usuriers n'est que pure bagatelle en comparaison de l'organisation des agints des compagnies d'assurance) — cytujemy dosłownie za p. Baron.

4) Około połowy polis ubezpieczeniowych (ok. 4 i pół milj. polis rocznie) przepada i *przepadają również pieniądze* wpłacone przez ubezpieczonych.

Statystyki dotyczące ruchu kapitałów na rynku ubezpieczeniowym w r. 1929 wskazują, że na 10 miljonów polis ubezpieczeniowych zawartych w tym roku ok. 6 milionów przepadło.

5) Kalkulacje towarzystw ubezpieczeniowych są oparte na podstawach zgoła lichwiarskich, i mogłyby być obniżone, gdyby towarzystwa postarały się o lepszą organizację pracy. Wystarczy nadmienić, że *przeszło 50% składek ubezpieczeniowych pochłaniają koszty i zyski towarzystwa,* i że ubezpieczeni mają do dyspozycji zaledwie 50% tego, co wnieśli.

P. M. B. Janner, członek Izby Gmin, wskazał na parę ciekawych cyfr z tej dziedziny. I tak: *w ciągu ostatnich 40 lat przepadło w Anglii ok. 100 milionów polis.* Wpływy towarzystw ubezpieczeniowych wynosiły ok. 750 milionów funtów szterlingów; wydatki i dywidendy ok. 315 milionów, inne zarachowania na wpływy — 185 milionów, podczas, gdy w tym samym czasie ubezpieczeni otrzymali zaledwie 272 milj. premii ubezpieczeniowych. Stosunek niewspółmierny.

Te rzeczy nie są zresztą nowe. Już w r. 1910, p. William udawadniał, że „bogate" towarzystwa ubezpieczeniowe przynoszą dywidendę w ten sposób, że na każde 7 funtów wpływu przypada 4 funty dywidendy, zaś w towarzystwach „biednych" jeden funt dywidendy przypada na 3 funty wpływu.

W. Prz.

Tajemnica ogni sztucznych

Na dzień 19 b. m. przygotowuje Związek Propagandy Turystycznej m. st. Warszawy wielkie widowisko ogni sztucznych, połączone z pożarem specjalnie na ten cel zbudowanej 3-piętrowej fabryki, w którego gaszeniu weźmie udział stołeczna Straż Ogniowa.

Będzie to pierwszy w Polsce pokaz nowoczesnych arcydzieł sztuki pirotechnicznej przy wydatnej współpracy mistrzów włoskiej pirotechniki. Należy tu podkreślić, że żywe obrazy tej miary, co wodospad Niagara, kolorowe kaskady, fontanny, oazy z setkami palm, cyprysów, wśród których uwijają się słonie i małpy — ukazywać się będą przed oczyma publiczności *na ziemi* w odróżnieniu od znanych nam ogni sztucznych (rakiet, bomb, szrapneli i rac), wybuchających w powietrzu.

Jest to zarazem atrakcja, zmierzająca do spopularyzowania poraz pierwszy w Polsce tego rodzaju widowiska.

Amerykanie robili próby nabycia patentów na widowiska pirotechniczne, ofiarowując bajońskie sumy, ale, jak dotychczas, bezskutecznie. Rząd Włoski n. p. otaczając czułą opieką narodową Sztukę Ognia, ogłasza rok rocznie konkursy na najlepsze dzieło pirotechniczne, Rozstrzygnięcie zawodów tych odbywa się na specjalnych igrzyskach, zwanych „Nocą Ognia"; które zgromadzają wiele tysięcy ludzi, w sądach zaś konkursowych zasiadają najwybitniejsi znawcy sztuki Współczesnej Italii.

Dokąd warto, dokąd nie...

Teatr — Rewja — Kino

„JADZIA“ (kino „Apollo“); Rzadko zdarza się niestety, aby można było pochwalić polski film. Tem chętniej zrobimy to przy „Jadzi“, która zasługuje na wyróżnienie. Zwrócimy najpierw uwagę na słabe strony tej komedji, aby potem móc z czystem sumieniem pochwalić zalety. A więc: zakałą filmu są koszmarne piosenki, które zarówno pod względem muzycznym, jak i tekstowym, stoją na poziomie niżej wszelkiej krytyki. Melodje przypominają jakieś żydowskie lamenty, a rymy są tego rodzaju, że Włast jest Mickiewiczem! Drugim faux pas jest scena meczu na początku filmu. Pomysł oklepany, a wykonanie straszne. Dalej: w wielu miejscach nie dopisał operator, zwłaszcza przy zdjęciach Smosarskiej. I wreszcie mały lapsus w dialogu: Smosarska i Żabczyński nie mogli się umówić o 8 wieczorem, bo i wtedy i w godzinę później, po seansie rzeźby, słońce świeci pełnym blaskiem.

A teraz z innej beczki. Scenarjusz „Jadzi“ nie jest specjalnie nowy ani oryginalny, ale posiada szereg zalet, bo jest miły, bezpretensjonalny. Dialogi (Ludwik Starski) zasługują na specjalne wyróżnienie za dowcip i brak wulgarności. Reżyserja Krawicza — poprawna: Jadwiga Smosarska z pewnością nigdy nie była tak miła i bezpośrednia, jak w Jadzi“. Szkoda naprawdę, że wyrządzono jej krzywdę przez złe oświetlenie i kiepskie zdjęcia. Żabczyński jest w „Jadzi“ bez zarzutu: sympatyczny, swobodny. Nie powinien tylko nadużywać swojej gierki zdumienia: rozszerzone do niemożliwości oczy. Widzieliśmy to już w „Manewrach Miłosnych“. Raz wystarczy. Doskonale zagrali swoje role Orwid, Sielański i Znicz. Ćwiklińska natomiast powtarza się niestety i szarżuje.

W sumie: miły film, który można obejrzeć. Każdy się ubawi.

„JEDNA Z TYSIĄCA“ (kino „Filharmonja“). Gdyby film ten był pochodzenia polskiego, krytyka cała rzucałaby niewątpliwie ciężkie gromy na naszych filmowców. Bo naprawdę film ten, reżyserji Victora Jansona, nie posiada nic, co usprawiedliwiałoby jego pojawienie się na naszych ekranach. Scenarjusz wyświechtany i banalny, reżyserja bez polotu, dialogi, pozbawione dowcipu, interpretacja mniej, niż przeciętna oto główne „zalety“ tego przeboju. Ani Martha Eggerth, ani Hermann Thimig, ani też użyci w epizodach Fritz Kampers, Margarethe Schlegel czy Margarethe Kupfer nie zdołali wzbudzić zaciekawienia, czy sympatii. Jedynym jasnym promieniem w tem wszystkiem, to Ernest Verebes, zawsze pełen werwy i humoru. Muzyczka Abrahama — przeciętna.

Nietylko można, ale nawet trzeba zostać w domu.

„CAREWICZ“ (kino ;„Hollywood“). Niewiadomo doprawdy, czy to może Kiepura przyniósł Marcie Eggerth takiego pecha, ale w każdym razie filmy jej są ostatnio coraz gorsze. „Carewicz“ nie uchronił się od tej reguły. Pomimo pięknej muzyki Lehara i wartości śpiewu Marty Eggerth, „Carewicz“ nie wytrzymuje krytyki, tembardziej, że zalety dźwiękowe zniweczone są złym stanem kopji i fatalnym stanem aparatury. Obok Marty Eggerth występują tu Hans Soehnker, Georg Alexander, Otto Walburg, Paul Heidemann i inni, z których reżyser nie zdołał nic wykrzesać.

Każda złotówka — stracona.

„MAYERLING“ (kina ;„Światowid“ i „Studio“). Jako inauguracyjny program nowego kina „Studio“ wybrano piękny film produkcji francuskiej „Mayerling“, odtwarzający w sposób kulturalny i finezyjny tragedię rodziny Habsburgów, nieszczęśliwą miłość arcyksięcia Rudolfa i baronówny Marji Veczery.

Reżyser Anatol Litvak potraktował temat nader inteligentnie, dając nam doskonały przekrój życia ówczesnego Wiednia. Litvakowi w znacznym stopniu pomogli aktorzy, którzy wszyscy bez wyjątku wywiązali się ze swoich rol bez zarzutu. Charles Boyer nie był może fizycznie odpowiedni do roli Rudolfa, ale rasowy i znakomity ten aktor włożył w swoją kreację tyle życia, temperamentu, i umiaru, że pozostawi po sobie niezatarte wspomnienie. Zupełny kontrast z arcyksięciem, trawionym przez neurastenię, stanowiła słodka, wiośniana Marja w nieskazitelnej interpretacji Danielle Darrieux. Wierny obraz cesarza Franciszka Józefa dał nam Jean Dax, a Jean Debucourt postarał się dostatecznie o to, byśmy znienawidzili postać plugawą prezesa rady Taaffe'go.

„Mayerling“ posiada kilka dłużyzn na początku filmu, ale potem akcja toczy się wartkiem tempem, a niektóre sceny przykuwają widza, jak rzadko kiedy. Na „Mayerling“ trzeba koniecznie się wybrać. Jest to o tyle ułatwione, że wyświetlany jest w dwu kinach równocześnie.

X. 27. —

Łączka kretynów

W Dzienniku Poznańskim z dn. 11 b. m. czytamy:

„KOLONIALKĘ
z maglą dobrze prosperującą z powodu zmiany branży, ul. Swoboda 17 przy Bukowskiej“.

Zaś o co wam idzie, kumplu? Ki djabeł ta kolonialka z dobrze prosperującą maglą...

*

W Warszawie wychodzi b. zakonspirowane czasopismo p. t. „Przegląd Polsko-Węgierski“ pod. no „organ tow. polsko-węgierskiego im. Stefana Batorego. W nr. 1 z maja r.b. znajdujemy następujące nazwiska współpracowników: *p. Odorkiewicz, p. Schummer, p. Pietrzykowski, p. Stella Olgierd...*

Bracia Węgrzy, ratuj się kto w Boga wierzy!

*

W Expressie Porannym z dn. 15 września w 3 odcinku powieści groźnego konkurenta Bolesława Prusa i Kamila Nordena — p. K. Witkowickiego, zatytułowanej: „Czwarta z lewej strony“, czytamy:

„Przez szeroko otwarte, niziutko nad ziemią umieszczone okno bawialni wdzierał się zuchwale ten zapach wraz z zielonym szumem gałęzi w w górze“.

O ile nam wiadomo p. Witkowicki jest hermafrodytą, a takie typki naogół nie mają tendencji do delirium, skąd więc ten „zielony szum gałęzi“, Bóg raczy wiedzieć.

*

Kino „Światowid“ wyświetla bardzo udany film „Mayerling“. Mniej udały się panu od reklamy we wspomnianym kinie, ulotki, w których czytamy:

„Mayerling“ jest prawdziwym eksponentem współczesnej twórczości artystycznej“.

Możemy stwierdzić pod przysięgą, że autor tej ulotki jest... ekspedjentem idjotyzmów i z usług jego Lejmany powinny co prędzej zrezygnować, w interesie swego sklepiku.

*

W Dzienniku Poznańskim z dn. 6 września znajdujemy następujące ogłoszenie:

„Wesoła, sympatyczna, z eleganckiem mieszkaniem, gotówką pozna średniego urzędnika. Cel matrymonjalny. Of. Dz. Pozn.“

Łaskawa Pani. Jakże to tak wypada. Kobitka wesoła, sympatyczna z eleganckim mieszkankiem i gotóweczką reflektuje na średniego urzędnika? Stanowczo brak polotu.

Stary pies.

(dokończenie ze str. 2-ej)

skich globtrotterów i skąd auto to,

bez uregulowania należności

(zresztą drobnej) ci właśnie globtrotterzy chcieli zabrać.

Mimo szczupłych funduszów, na podstawie listów polecających, jakimi obydwaj panowie rekomendują się, konsulat udziela niewielkiej zapomogi, która oczywiście jest dla naszych globtrotterów kroplą w morzu.

Zaczyna się więc teraz zwykłe naciąganie poszczególnych urzędników na mniejsze lub większe sumy. Za każdym razem zwrot tych sum obydwaj panowie

gwarantują słowem honoru

a w wyszukiwaniu źródeł pieniężnych idą od najwyższych urzędników dyplomatycznych naszej placówki, aż do... kawasa, który wzruszony opowiadaniami jednego z globtrotterów, pożycza mu parę funtów tureckich. 3

Po wyeksploatowaniu wszystkich źródeł, jeden z panów, ten bardziej aktywny, wraca wraz z małżonką do kraju. Drugi jedzie dalej, w szeroki świat. Oczywiście ani jeden ani drugi do tej pory

nie dają swym prywatnym wierzycielom znaku życia.

Zarówno polski attache, jak i polski kawas muszą zapisać pieniądze pożyczone rodakom na debet...

Nie zajmowalibyśmy się napewno tą przykrą sprawą, gdyby jej smutnymi bohaterami byli ludzie prywatni, którzy jedynie swemu sprytowi i talentowi krasomówczemu zawdzięczać mogą takie właśnie „sukcesy“ naciągacze. Niestety, tak nie jest. Jak już wyżej wspomnieliśmy kanciarscy globtrotterzy posługiwali się polecającemi listami zasłużonych i godnych szacunku organizacyj społecznych, legitymowali się *legitymacjami prasowemi wielkich imprez wydawniczych w Warszawie,* ba — słusznie czy nie słusznie powoływali się na przynależność do poważnej organizacji zawodowej.

Słowem — przy takiej ilości pozornie murowanych atutów, zasługiwali na pełne zaufanie. Rezultat? Jeszcze jedna bardzo smutna i bardzo cuchnąca afera, o której w plotkarskim Stambule długo i bardzo złośliwie mówiono, nie bez słuszności podziwiając kanciarskie talenty „polskich generałów“.

B:s.

PRENUMERATA wraz z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu zł. 6.— kwartalnie, zagranicą zł. 9.— OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości mm. szerokości 1 szpalty, zwyczajne 60 gr., w tekście 1.20 gr. nadesłane 1 zł.: Komunikaty 80 groszy. Kolumna posiada 4 szpalty.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Królewska Nr. 35 m. 20, tel. 6.33-66 czynne codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godz. 11-ej do 13-ej
Konto w P. K. O. Nr. 15,581

Redaktor: **Henryk Sieciński.** Wydawca: **Włodzimierz Popławski**

Druk. „Kolumna“ Warszawa, Nowy Świat 39